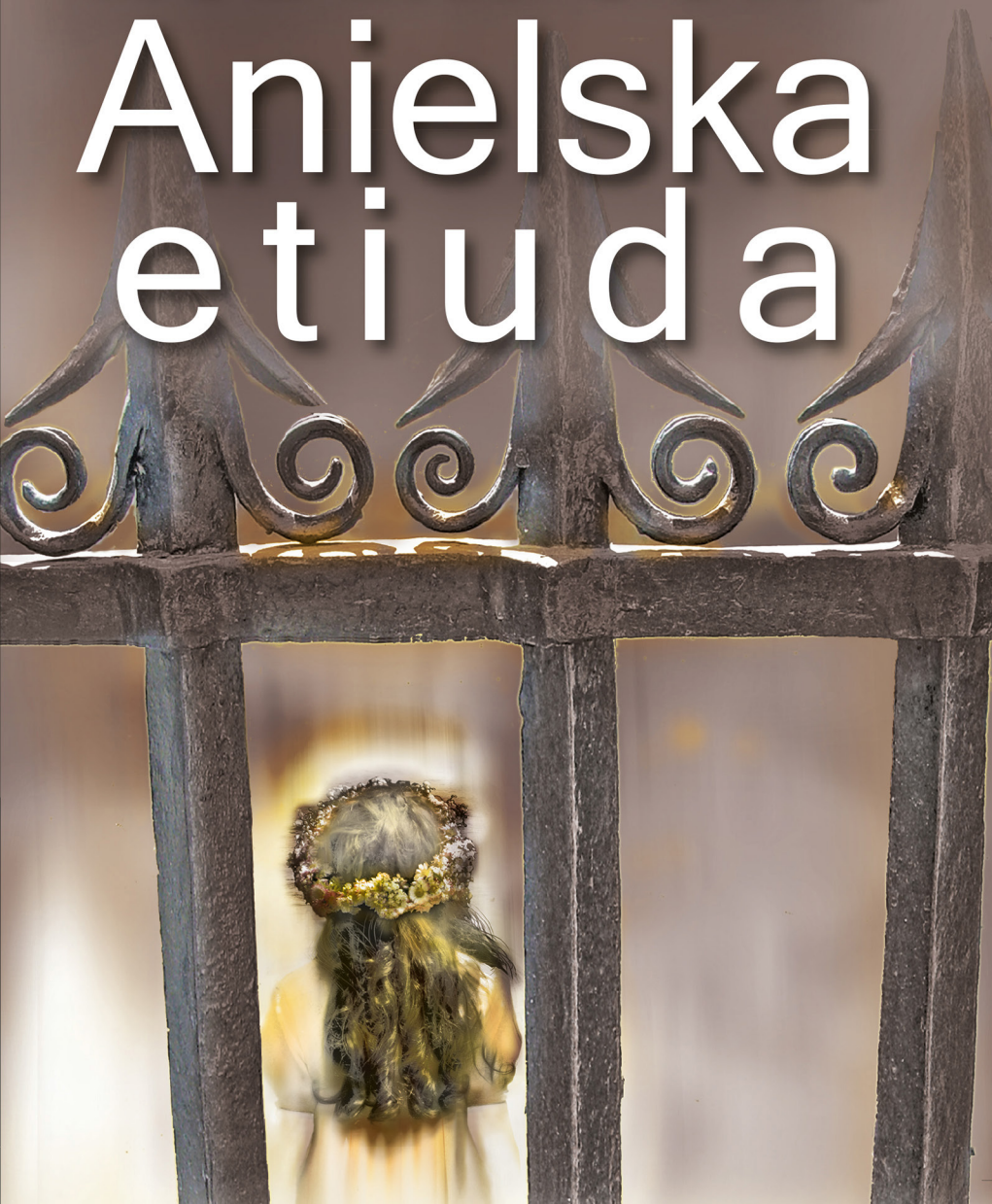


ROBERT GONG

Anielska

etiuda



Autor:

Robert Gong

Projekt okładki:

Barbara Kuropiejska-Przybyszewska

Redakcja:

Grażyna Dobromilska

Opracowanie i korekta:

Grażyna Dobromilska

www.madgraf.eu www.blog.madgraf.eu

© Copyright by Robert Gong, Radom 2015

© Copyright by ALFA-ZET 7, Radom 2015

ISBN 978-83-65091-01-7

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka nie może być reprodukowana ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora.

Skład i łamanie:

Grażyna Dobromilska

Druk i oprawa:

OSDW Azymut Sp. z o.o.

93-192 Łódź ul. Senatorska 31

Wydawca:

ALFA-ZET 7

Małgorzata Gałuszka

26-600 Radom ul. Miła 17

e-mail: biuro@alfa-zet.pl

Rok wydania

2015

[Kup książkę](#)

I

Krocząc trzecią aleją Najświętszej Marii Panny, minął hotel Patria i znalazł się na szerokim deptaku pomiędzy parkami prowadzącym pod szczyt klasztoru na Jasnej Górze. Skręcił w lewo i poszedł wzdłuż wysokiego muru z czerwonej cegły, rozglądając się z zaciekawieniem na boki. Mimowolnie zaczął konfrontować rzeczywistość z tym, co widział w telewizji i na starych pocztówkach, które przez długie lata otrzymywał od swojej już zmarłej babci. Wszystko było jakieś inne. Nawet ponad stu-metrowa „Święta Wieża” wydała mu się dużo mniejsza. Zarzucony na ramię stary harcerski plecak i niewygodne skórzane traperki uwierały go coraz bardziej. Wszedł na dziedziniec, gdzie zobaczył grupkę turystów, a pośrodku nich wysokiego jasnowłosego człowieka w garniturze, trzymającego w ręce białą-żółtą teczkę. Zbliżył się i wpatrzony w postawnego mężczyznę, zaczął przysłuchiwać się opowieści o bohaterskim księdzu Kordeckim, który z trzystoma bezgranicznie oddanymi ludźmi bronił

klasztoru przed nawałnicą szwedzką Karola Gustawa. Prawie jak pod Termopilami – pomyślał, gdzie dzielny król grecki Leonidas z trzystoma Spartanami zatrzymał w wąskim wąwozie półmilionową armię perską. Prawie, bo nieustraszonego Leonidasa wrogowie pozbawili głowy, przybili do krzyża i spalili, a Kordecki odparł te dzikie hordy szwedzkie i to był początek końca tej niezapowiedzianej wizyty Skandynawów na ziemiach polskich. Mój Boże – mruknął pod nosem. – Taka potęga przeciwko niewielu? Czy dziś są jeszcze tacy ludzie, czy ja bym tak potrafił? Walczyłbym czy zdezerterował? Zadał sobie retoryczne pytanie i wszedł do środka kaplicy, aby w końcu po latach dawanych sobie obietnic na własne oczy zobaczyć obraz Czarnej Madonny.

Wewnątrz było chłodno i bardzo tłoczno. Delikatnie, aby nikogo nie urazić, przepychał się do przodu. – Jest – wyszeptał. Przeżegnał się i zniżył głowę. Chciał odmówić pacierz, jednak napierający tłum z tyłu przesunął go w lewą stronę ku wyjściu ze świątyni. Włożył dwa palce do kropielnicy ze święconą wodą, przykucnął, wykonał znak krzyża na piersi i wyszedł. Główna brama teraz wydała mu się jakby większa, a przechodzący ludzie jacyś inni. Dziwny stan lekkości, spełnienia, dziecięcej

niewinności niósł go teraz jak małą papierową łódkę po spokojnych falach oceanu.

Opuścił teren klasztoru, usiadł w cieniu na ławce w parku i bezmyślnie przyglądał się wolno sunącym pielgrzymom. Spojrzał na wieżę Jasnej Góry i pomyślał: – Magiczne miejsce, przedziwne, niezwykione. Ani Szwedzi, ani Niemcy, a później nawet komuniści nie zdołali zawłaszczyć sobie klasztoru. Coś w tym jest i to na pewno nie przypadek. Taka niezwykiona ziemską twierdza Pana Boga. Odruchowo spojrzal na zegarek.

Otworzył plecak, wyjął kanapki, termos z herbatą i zaczął jeść. Pociąg powrotny do Warszawy miał dopie- ro po dwudziestej pierwszej. Przeżuwać kolejną kromkę z żółtym serem, myślał o nadchodzącym nowym roku akademickim. O pracy magisterskiej i o właśnie koń- czących się wakacjach. Pochwycił termos, ponownie nalal herbatę do kubka i niezdarnie postawił go na brze- gu ławki. Ten przechylił się, spadł i zaczął turlać się po chodniku. Robert zdjął z kolan plecak, położył na nim nadgryzioną kanapkę i zerwał się z ławki w pogoni za termosem. Zrobił kilka kroków, podniósł go i kiedy się wyprostował, dostrzegł stojącą przed nim filigranową ru- dowłosą dziewczynę o urodzie do złudzenia przypomi- nającej młodą Jenis Joplin. Uśmiechnęła się przyjaźnie,

widząc jego nieporadność, a on stał przez chwilę z lekko rozchyłonymi ustami w bezruchu, jak katatonik w ostatnim stadium choroby.

– Byłoby się rozlało – wydukał bez sensu.

– Byłoby – powtórzyła dziewczyna za nim i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

Robert zmieszał się, zarumieniał i z osłupiałą miną zapytał:

– Pani też na pielgrzymkę?

Dziewczyna przecząco pokręciła głową. Widząc nieśmiałość i zakłopotanie nieco tylko starszego od siebie chłopaka, pewnie odparła:

– Nie, na spacer.

– A pan? – zapytała po chwili.

Jej rozwiane kręcone włosy lekko roztańczone w promieniach słońca, ciemne okrągłe okulary w drucianych oprawkach, dziecięcy uśmiech, jakiego wcześniej nie widział, i subtelna, a zarazem kobieca twarz, robiły na nim takie wrażenie, iż poczuł się zupełnie sparaliżowany.

– A pan? – powtórzyła pytanie, widząc, iż jest nią oczarowany.

– Aaaa... Ja. Prawda, przepraszam, zamyśliłem się – nadal mówił bez składu. – Nie. Ja nie na spacer.

– Czyli pan chyba nie z Częstochowy?

– Z Warszawy – odrzekł już pewniejszym głosem.
– Przyszedł pan z pielgrzymką? – dopytywała się.
– No niestety nie. Przyjechałem dziś rano pociągiem,
a po dwudziestej pierwszej będę wracał.

– Pan z samej Warszawy?

– Tak – oznajmił dumnie, wydatnie przeżąc pierś do przodu. – A czy ma to jakieś znaczenie?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, ręką zaczesala włosy do tyłu i zupełnie naturalnie oznajmiła:

– Niby nie. Jednak dobrze byłoby poznać kogoś ze stolicy, gdyż od października rozpoczynam tam studia.

– Studia?! – powtórzył zachwycony.

– Tak.

– A na jakim kierunku?

– Dostałam się na historię.

Robert roześmiał się w głos z chłopięcym urokiem na twarzy.

– To pana śmieszy?

– Skądże. Tylko rozmawiamy już chwilę, a nawet się nie przedstawiłem.

Wyciągnął dłoń i szarmancko zniżając głowę, podał rękę.

– Mam na imię Robert, a ty?

Dziewczyna lekko zdziwiona zachowaniem dotąd nieśmiałego mężczyzny cicho odparła:

– Barbara.

– Mogę wiedzieć, co cię tak przed chwilą rozbawiło?
– zapytała niepewnie.

– Trafniejszym określeniem byłoby: ucieszyło.

– A więc, co takiego cię ucieszyło? – dopytywała zupełnie zdezorientowana.

Robert uśmiechnął się serdecznie i nie kryjąc radości, bezceremonialnie rzucił:

– To od października będziemy się często widywać. Oczywiście, jeżeli tylko zechcesz – i wlepiając w nią wzrok, czekał na akceptację.

– Nie rozumiem – powiedziała zupełnie zdumiona.

– To proste, gdyż ja też studiuję.

Dziewczyna zmieszała się i choć bardzo się starała, nie zdołała tego ukryć. Warszawiak, student, w dodatku przystojny, a co najważniejsze, w jej guście. Zdała sobie sprawę, że zaczyna się jej coraz bardziej podobać. W jednej chwili przypomniała sobie niedawną zabawę z koleżanką kartami tarota, w której wróżba mówiła, iż wkrótce spotka ją coś szczególnego. Zdarzenie, które odmieni całkowicie jej nudne życie. Myślała wówczas o studiach. Jednak teraz z każdą chwilą czuła, iż to coś

właśnie stoi przed nią. Oczarowana zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, iż przenika ją uczucie, jakiego od dawna nie doznała. Czyżby? – zapytała samą siebie.

– Teraz ty się zamyśliłaś – z zadumy wesolo wyrwał ją Robert.

– Rzeczywiście, czuję się trochę zmęczona. Miałam ciężki tydzień i chciałam na spacerze trochę się zrelaksować.

– Jakież problemy? – zapytał troskliwie.

– Nie, miałam po prostu dużo pracy w domu.

Przez chwilę zapadło milczenie. Sytuacja wyglądała dokładnie tak, jak na pierwszej randce nastolatków. Oboje zauroczeni mocno sobą, zakłopotani i marzący tylko o pocałunku. Jednak, aby się nie zdradzić z własnym uczuciem, poruszają tematy dalekie od własnych pragnień. O co chodzi? – zapytał siebie w myślach. – Czyżbym ją czymś uraził? A może jej się nie podobam?

– A co studiujesz? – spytała od niechcienia, rozładowując napiętą atmosferę.

– Filozofię – odparł zakłopotany.

– To musi być ciekawy kierunek – rzuciła, nie patrząc mu już w oczy.

– Filozofię, ale też historię.

– To tak można? – zapytała, teraz naprawdę zdziwiona.

– Tak. Przecież bardzo wiele osób studiuje dwa kierunki.

– Ale to chyba bardzo trudne?

– Chwilami nawet bardzo. Jednak, jeżeli nauka jest pasją, a nie przymusem, to prawdziwa frajda – odparł mentorskim tonem.

Basia poprawiła się na ławce i pełna uznania zapytała:

– A jak długo studiujesz?

– Filozofię piąty, a historię dopiero trzeci rok. Teraz na nowo zacząłem pisać pracę magisterską, gdyż mój promotor z poprzedniej nie był zbyt zadowolony.

– A o czym piszesz?

– Generalnie o stoikach, a tak bardziej konkretnie to o Senece.

– To ten sam, który pod wpływem Nerona popełnił samobójstwo? – zapytała pro forma, doskonale znając odpowiedź.

– Dokładnie ten sam.

– A ty jesteś stoikiem?

Robert uśmiechnął się sam do siebie i wesoło rzucił:

– Raczej cholerykiem.

– To dlaczego taki temat?

– Dlaczego? – powtórzył za nią. – To dobre pytanie. I niedawno ktoś mi je zadał.

– Kto? – dopytywała się coraz bardziej zaciekawiona.

– Olek, mój kolega z roku.

– Wybacz, ale w ogóle cię nie rozumiem. Przecież pisząc pracę, powinieneś identyfikować się z danym nurtem filozofii i postaciami, które w niej ujmujesz, a ty mówisz, że jesteś ich przeciwieństwem. Czyżbyś nie widział w tym niekonsekwencji?

– Szczerze mówiąc, to poszedłem trochę na łatwiznę. Seneka to okres Rzymu za czasów Nerona, a to z kolei w prosty sposób łączy się z historią, czyli moim drugim kierunkiem studiów.

– Więc tej pracy wielkim wyzwaniem intelektualnym chyba nie nazwiesz? – rzuciła trochę zniesmaczona i po chwili dodała: – To tak, jak gdyby uczeń napisał kląsówkę, na przykład z matematyki, w domu zamiast w klasie na lekcji, a potem otrzymał za nią piątkę.

Robert podrapał się po głowie. Wymownie spojrzał na Basię i pomyślał: – Boże, taka wspaniała dziewczyna, a idealistka. Od lat to samo: kujon, puszczałska albo despotka. A teraz dziewczyna z moich marzeń, z którą zimą chce się zdobywać wszystkie ośmiotysięczniki ziemi i to od najtrudniejszej strony, i taki problem. Jak nic, czeka mnie starokawalerstwo.

– Uraziłam cię? – zapytała nieoczekiwanie.

– Nie. W tym, co mówisz, masz wiele racji, ale skoro tak dobrze nam się rozmawia, to może pokażesz mi jakieś ciekawe miejsca?

– Spacerok? – zapytała, a na jej twarz powrócił ciepły serdeczny uśmiech.

– A może kawa?

Wymiana spojrzeń mówiła sama za siebie. Dzikie pragnienie bliskości łączące dwoje obcych sobie ludzi, znających się od paru chwil, zaskoczyło ich niczym ulewny deszcz w samym środku lata na gorących piaskach Sahary.

– A co by na taką propozycję powiedziała twoja dziewczyna? – zapytała przebiegle, aby nie wyjść na głupią gąskę, którą łatwo można poderwać w parku.

– Moja dziewczyna? – powtórzył, szukając w myślach sprytnej riposty. – O ile ją znam. Zapewne to, co wszystkie kobiety.

– Czyli co?

– Kanalia, szuja, że jak tylko mnie samego gdzieś puścić, to już się ogładam za innymi kobietami. Jak tak mogłeś, czemu mi to zrobiłeś i tak dalej. Chociażby z filmów znasz ten zestaw wymówek. Prawda?

– Prawda – syknęła niczym jadowita kobra. – I to jak najbardziej oczywista – dodała złośliwie z namaszczeniem. – Tacy są przecież po prostu mężczyźni – dorzuciła

jeszcze poirytowana, gdyż miała nadzieję, iż człowiek, który zrobił na niej tak wielkie wrażenie, jest wolny.

– Moja dziewczyna to nic, ale co by powiedział twój chłopak?

Bezczelny – pomyślała. – Nie dość, że ma dziewczynę, to jeszcze się mądry.

Przyparta do muru, uważnie spojrzała na Roberta i arogancko zapytała:

– A czy pan go tu gdzieś widzi?

Aluzja była oczywista. Chyba przesadziłem – pomyślał, widząc jej zbulwersowaną minę. – Bałwan ze mnie. To nie akademik. Ona wszystko bierze na poważnie.

Widząc jej nadąsaną minę, poczuł, jak grunt ucieka mu spod nóg, a z romantycznej randki pozostają już tylko popioły i zgliszcza.

– Wygląpiłem się. Wybacz. To był taki beznadziejny studencki żart.

– Mam nadzieję, że to był naprawdę żart. Jednak nawet jeżeli, to bardzo prostacki.

Przez chwilę poczuł się tak, jakby otrzymał potężny cios od samego Muhammada Ali. W panice w myślach szukał pośpiesznie dobrego wyjścia z tej niezręcznej sytuacji. Po dłuższej chwili milczenia niepewnie oznajmił:

– No pomyśl, gdybym miał dziewczynę, czy przyjechałbym tu sam? Siedział na ławce w obcym mieście i czekał do wieczora na pociąg?

– A więc, dlaczego tak powiedziałeś? – rzuciła zraniona z pretensją w głosie.

– Bo chciałem dowiedzieć się, czy ty masz kogoś.

– To nie lepiej zapytać wprost?

Robert zawahał się przez chwilę, opuścił wzrok, a policzki jego oblał widoczny rumieniec. Położył plecak na kolanach i jak uczeń wyszeptał:

– To nie takie proste.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

Wszystkie nieudane randki, na których wyszedł dotąd na durnia, stały mu przed oczyma. Od zawsze podobał się dziewczynom, ale przy bliższym poznaniu u nich momentalnie tracił. Postawny, przystojny mężczyzna. Inteligentny, chwilami szarmancki. Chłopak, przy którego boku niejedna dziewczyna chciałaby spędzić całe swoje życie, był najzwyczajniej w świecie nieśmiały.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Normalnie – odparła. – Tak jak rozmawiają ze sobą dorośli ludzie.

– Dobrze, ale obiecaj mi, że nie będziesz się śmiała.

– Nigdy nie szydę z rzeczy, które dla innych są ważne.

– Okey – zaczął nieśmiało. – Chciałem wiedzieć, czy masz chłopaka, a nie wiedziałem, jak o to zapytać.

– A po co ci taka wiedza?

Robert zebrał się w sobie. Nabral powietrza w płuca. Plecak położył między nogami i bawiąc się skórzanym paskiem, najczulej, jak tylko potrafił, wyszeptał:

– Bo mi się bardzo podobasz.

Dziewczyna porażona niczym piorunem wzruszyła ramionami, chcąc ukryć fakt, iż na te słowa czekała. Udając obojętną, od niechcenia rzuciła:

– Naprawdę nie wiem, co miałabym ci na to odpowiedzieć. Znamy się niecałą godzinę, a tu takie wyznanie.

– Wyglupilem się, co? – oznajmił zmieszany.

– Wręcz przeciwnie, bardzo cenię sobie szczerość, ale takich wyznań w swoim dość krótkim życiu słyszałam już mnóstwo i nie biorę ich zbyt poważnie.

– A wiesz, dlaczego? – zapytała po chwili, zyskując nad nim przewagę.

Robert ze wstydu obiema dłońmi zasłonił twarz i w milczeniu przecząco pokręcił głową.

– Mam bardzo smutne doświadczenia z chłopakami. Albo dotąd nie trafiłam na tego jedyne, albo wszystkim chodzi o to samo.

– Nie rozumiem – udął zdziwionego.

– To proste. Każdy, z którym się umówiłam, zaraz chciał, abym dała mu dowód swojej miłości. Wiele moich koleżanek z liceum tak zrobiło i są już samotnymi matkami albo mają taką opinię, której nie chciałaby mieć żadna dziewczyna. Teraz już rozumiesz?

– Tak, ale ja nie miałem tego na myśli – odparł zbulwersowany, iż został tak haniebnie posądzony.

– Na pewno? – zapytała drwiąco.

– Bóg mi świadkiem.

– Boga to ty zostaw w spokoju – oburzyła się na powoływanie się w tak błahych sprawach na jej największy autorytet. – Wiedz, że ja chodzę na Oazę i bardzo cenię sobie wartości, które nasz wspólny ksiądz Marcin nam przekazuje. A te tak zwane dowody miłości to czysta kopulacja, nie mająca nic wspólnego z prawdziwym uczuciem. Zresztą, nie lubię pijaków, uwodzicieli i oszustów. Rok temu przez trzy miesiące chodziłam z takim jednym casanową, który zapewniał mnie, iż ma te same ideały, ale fason trzymał tylko do momentu, kiedy jego rodzice wyjechali na wczasy. Zaprosił mnie wtedy do swojego domu i tak jak wszyscy dotąd, chciał tego samego, a kiedy powiedziałam „nie”, zamknął drzwi na klucz i próbował mnie zgwałcić.

– I co? – zapytał zaciekawiony.

– Nic. Upuściłam mu kryształowym wazonem trochę krwi z tej jego pustej mózgownicy i tak zakończyła się największa miłość mojego życia.

– To smutne – skwitował Robert.

– Smutne? – podniosła głos oburzona. – Przez tego bydlaka straciłam prawie wiarę w ludzi. Dopiero nasz ksiądz pomógł mi się z tego otrząsnąć.

– To już teraz nikomu nigdy nie zaufasz?

– Tego nie powiedziałam, ale musi dużo wody upłynąć w Warcie, aby tak się stało.

Po chwili dodała:

– A wracając do tego, co powiedziałeś, to muszę ci się też do czegoś przyznać.

– Słucham? – powiedział zaciekawiony.

– Ty też wydajesz mi się całkiem interesujący. Robisz dobre wrażenie i tylko dlatego z tobą rozmawiam.

– Czyli mam rozumieć, że też ci się podobam? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Oj tam, od razu podobam – odparła, karcąc go przyjaznym uśmiechem. – Po prostu wydajesz mi się jakiś inny, a do podobania jeszcze bardzo daleko. Jednak pamiętaj, że na słowo to ja już żadnemu facetowi nie uwierzę. „Po owocach ich poznacie”, tak napisano w Biblii i tego się trzymam.

– Jasno się wyraziłam? – rzuciła szorstko, patrząc mu jednocześnie zawadiacko w oczy.

– Aż zanadto. Tak więc od dzisiaj będę dużym dojrzałym nierobaczywym jabłkiem.

– Jabłkiem nie – zaproponowała stanowczo.

– Dlaczego?

– Bo Ewa w raju skusiła Adama właśnie jabłkiem i wszystko, co złe na świecie, od tego się zaczęło.

Robert pomyślał przez chwilę i jak z armaty wystrzelił:

– To będę dużym żółtym smakowitym i twardym bananem.

– Świnia – skwitowała krótko.

Roberta wprost замуrowało i dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– Ale dlaczego?

– To było chamskie.

– Wcale nie – zaprotestował.

– To jak mam to rozumieć?

– Zwyczajnie. W podstawówce do piątej klasy byłem o półtorej głowy wyższy od swoich rówieśników, a że chodziłem trochę przygarbiony, to przezywali mnie wszyscy właśnie banan.

Twarz Basi zrobiła się cała purpurowa ze wstydu. Zaczepnęła głęboko powietrza, jednak i tak nie

znajdowała słów, aby wyjść z twarzą z tej niezręcznej sytuacji.

– Mówiłaś o mnie, a chyba sama masz robaczywe myśli?

– Nieprawda – oburzyła się przekornie.

– A właśnie, że prawda – zaczął się z nią droczyć.

– Nieprawda – rzuciła zmieszana i zaczęła pięściami delikatnie okładać go po plecach.

Robert śmiał się coraz głośniejszym, a subtelne klepanie było tak przyjemne, iż mogło dla niego trwać wieki.

– No dobrze, niech stanie na twoim – powiedział rozbawiony i ramieniem objął dziewczynę.

Basia przytuliła się do piersi Roberta i cicho wyszeptwała:

– Wiesz, na co dzień słyszę tyle dwuznacznych propozycji od chłopaków, że nie pozostają im dłużna.

– Zresztą, zakończmy ten żaloszny temat i jeżeli ta kawa jest nadal aktualna, to również się chętnie napiję – oznajmiła, odzyskując pewność siebie, ale jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, jak strasznie się wygłupiała.

– Kawa!? Brzmi zachęcająco – odparł. – A co do tych chłopaków, to w ogóle im się nie dziwię. Jedyne powinni popracować nad formą dotarcia do ciebie, ale jeżeli chodzi o twoją osobę, to ich zupełnie rozumiem.

– A co do tego nieszczęsnego banana, to od dziś najlepiej będę zwyczajnym Robertem, który z niczym ci się nie będzie kojarzył. Dobrze?

Dziewczyna z uwagą spojrzała mu głęboko w oczy i przekornie zapytała:

– Teraz będziesz się nade mną znęcał, bo się wyglupiałam?

– Okey. Od teraz milczę. Już nic nie mówię – wtrącił wesolo Robert, przesuwając palec po ustach, imitując zamykanie ich za pomocą zamka błyskawicznego.

Po parunastu metrach drogi przez park w kierunku hotelu „Patria” Basia zatrzymała się i ochoczo oznajmiła:

– Wiem, pójdziemy nad Bałtyk.

Robert spojrzał na nią z niedowierzaniem i z nutką ironii zapytał:

– A to trochę nie za daleko, tak z Częstochowy nad morze!?

– Nie nad morze, tylko nad Bałtyk.

– A to nie to samo? – zapytał jeszcze bardziej zdziwiony.

Basia zaczesła ręką do tyłu włosy i mentorsko oznajmiła:

– Gdybyś chodził z pielgrzymką warszawską co rok, to byś wiedział, że Bałtyk to taki częstochowski Balaton

z drugiej strony Jasnej Góry od ulicy św. Jadwigi. A z ciebie to taki kolejowy pielgrzym, co to, jak mawiała moja świętej pamięci babcia, „boi się sobie sandałków przykurzyć”.

– A na ciebie, jak mawiała twoja babcia, pani mądralo, bo na pielgrzymki nie chodzisz? – odgryzł się ostro.

– Na mnie – powtórzyła za nim i zawiesiła przez chwilę głos.

– Na ciebie, na ciebie – rzucił natarczywie, jakby znalazł odpowiedź.

– Na mnie, mój drogi, babcia nijak nie mówiła.

– Bo pewnie byłaś jej ukochaną wnuczką? – zaśmiał się ironicznie, chcąc pokazać jej wywyższenie się.

– Nie, panie „kolejowy pielgrzymie”. Moja babcia co roku pakowała mi plecak i pod koniec lipca jechałam pociągiem do stolicy. I co roku od pierwszej klasy szkoły podstawowej do siedemnastego roku życia chodziłam na pielgrzymki z moją ciocią z Konstancina, a kiedy umarła, dołączyłam do swojej starej grupy warszawskiej.

Robert opuścił głowę. Twarz jego oblał soczysty rumieniec i pomyślał: – Na wszystko ta dziewczyna ma odpowiedź.

– A do kościoła to kolega w ogóle chodzi? – Napierała teraz już bezpardonowo.

– Oczywiście – odparł z dużą dozą arogancji.

– Ale tak bardziej jak dziś, turystycznie, czy może jednak z lekką nutką religijności?

– Teraz to mnie już chyba obrażasz? – syknął podirytowany tą rozmową.

– Oj tam, od razu obrażasz. Wielki chłop z ciebie. Prawie wykształcony, może nawet inteligentny. Skąd ja mogę wiedzieć, co ci tam w głowie siedzi? Zresztą – ciągnęła dalej – jak się czegoś nie wie, to najlepiej zapytać u źródła. Czyż nieprawda, panie filozofie?

– Prawda!! Prawda! – odburknął, nie kryjąc zażenowania. – To, że nie chodzę na pielgrzymki i opuszczam niedzielne msze święte, to jeszcze nie powód, aby od razu posyłać mnie na stos.

– Nie każdy – mówił już z wyraźnym sarkazmem – moja droga, znajduje się tak blisko kościoła, jak ty, ale to jeszcze nie znaczy, że pod czapką nosi rogi, a z tyłu wyrósł mu właśnie ogon.

– Wiecie, Wasza Świątobliwość? – rzucił na koniec kwiecistego wystąpienia i z całej siły kopnął leżący przed nim kamień.

Słowa Roberta zabrzmiały zabawnie, niczym tłumaczenie się małego chłopczyka, który właśnie poprzez

roztargnienie stłukł salaterkę z budyniem czekoladowym, przyrządzonym przez swoją ukochaną mamę.

Basia przez chwilę wpatrywała się w zmieszanego chłopaka, aż w końcu nie wytrzymała i parsknęła dziewczęcym chichotem.

– Ty mi się tłumaczysz!?! – oznajmiła z serdecznym uśmiechem, nie kryjąc ubawu z reakcji Roberta.

– Ty chyba żartujesz!! – wykrzyczał i kontynuował: – Jeszcze się żadnej dziewczynie nie tłumaczyłem i tłumaczyć nigdy nie będę.

Wypiął dumnie pierś w oczekiwaniu na ripostę.

– Uuu. Samiec się w warszawskim paniczku odezwał.

– Nie samiec, tylko prawdziwy mężczyzna – odgryzł się już mniej miło.

– Mężczyzna? – powtórzyła za nim.

– A może taki przyjezdny casanova, który przy byle okazji balamuci młode porządne dziewczyny?!

Robert stanął jak wryty. Spojrzał na Basię, a serce jego przebił niewidzialny sztylet. Na gardle owinęła mu się niewidzialna stalowa obręcz i poczuł, że zrobiło mu się bardzo przykro. Taka wspaniała dziewczyna, a taka niedostępna, a przede wszystkim nieufna – pomyślał. Pokiwał z politowaniem głową. Postukał się wymownie palcem po czole i z zażenowaniem bezpretensjonalnie rzucił:

– Ty się chyba w dzieciństwie za dużo filmów dla dorosłych naoglądałaś i teraz masz problem z odróżnianiem ludzi. Albo cię ten twój ksiądz na zakonnicę chce przerobić i teraz wszystkich mierzysz jedną miarką.

– Ty mi się naprawdę tłumaczysz?! – oznajmiła z nieskrywaną satysfakcją, wprost oczarowana tą sytuacją.

– No niech ci będzie, że się tłumaczę, i co z tego?

Basia spojrzała mu raz jeszcze głęboko w oczy, chrząknęła wydatnie pod nosem i wsunęła swoją małą dłoń w jego wielką jak bochen chleba rękę.

– Chodźmy w końcu nad ten Bałtyk, bo nas tu zima zastanie – powiedziała i delikatnie pociągnęła go za sobą. Po parunastu metrach puściła jego dłoń i od niechcenia zagaiła:

– Podoba ci się moje miasto?

– Znam tylko Aleje, dworzec i nic poza tym. Tak więc trudno mi coś o nim powiedzieć.

Basia opuściła głowę i co jakiś czas uśmiechając się do siebie, szła pod rękę z Robertem w milczeniu. Zeszli w dół ulicą Wieluńską, minęli Rynek Wieluński i znaleźli się na ulicy świętego Rocha.

Niskie szare domy po obu stronach ulicy, dość wąskiej jak na trasę wylotową na Wieluń, nie budziły zachwytu w Robercie.

II

Dwadzieścia lat później

Robert obudził się o brzasku. Po nocy dręczącej dziwnym niezrozumiałym koszmarem wszystkie mięśnie, a nawet kości, bolały go jak przy najbardziej ostrym ataku grypy. Wolno zwlókł się z łóżka i niczym inwalida wojenny potruczał do kuchni. Z małej metalowej szkatułki z lekami wyjął termometr i włożył go pod pachę. Nastawił czajnik z wodą na kuchence gazowej, rozsiadł się wygodnie w swym miękko wytapicerowanym krześle i bezmyślnie zapatrzył w palący się pod czajnikiem płomień. Czuł się jak stary przedwojenny zegar, którego wskazówki za chwilę przestaną odmierzać czas. Oślepiające promienie słońca z wolna zaczęły wdzierać się do mieszkania. To dobry znak – pomyślał, spoglądając przez kuchenne okno na swój wypielegnowany ogródek, z którego przed wszystkimi sąsiadami był tak bardzo dumny.

Ciepłe słoneczne dni zawsze napawały go optymizmem. Włożył rękę pod wygniecioną beżową piżamę. Wprawnym ruchem wyciągnął termometr, spojrzął i ku swojemu zdziwieniu odczytał 36,6°C. – Zwykle zmęczenie organizmu – mruknął pod nosem, chowając termometr do szkatułki.

Zalał wrzątkiem kawę, raz jeszcze spojrzął na ogród, uśmiechnął się pod nosem i przeszedł do salonu. Usiadł w głębokim skórzanym fotelu naprzeciwko kominka. Na dużą dębową ławę postawił kubek z kawą, przeciągnął się i odruchowo spojrzął na wiszący nad kominkiem portret swojej zmarłej żony.

– To już tyle lat, kochanie, a wydaje się, jakby to stało się wczoraj – powiedział do portretu i z zasępioną miną upił łyk kawy. Westchnął głęboko, spojrzął raz jeszcze na portret, gdy z nostalgii wyrwał go plastikowy odgłos dzwonka domofonu.

– A kogo tam o tej porze niesie? – burknął i podszedł do słuchawki w przedpokoju.

– Słucham – rzucił gburowatym tonem.

– No cześć, Robert, to ja, Julek.

– Wejdz – wydukał z niechęcią w głosie i przycisnął guzik zwalniający elektromagnes w furtce.

Otworzył drzwi i opryskliwie, niczym intruza, powitał swojego odwiecznego przyjaciela.

– Wcześniej to już nie mogłeś przyjść?

Julek stanął jak wryty. Zdziwiony spojrział głęboko w oczy Robertowi i ostro, bez cienia kurtuazji, rzucił:

– Znowu pileś!

– Nie – oburzył się Robert.

Julek kpiąco pokiwał głową i z politowaniem od wejścia oznajmił:

– Ty powinieneś robić doktorat z własnego pijaństwa, a nie z historii drugiej wojny światowej.

– Znowu przyszedłeś mi prawić morały? – odgryzł się gospodarz.

Julek poklepał tylko przyjaciela po ramieniu i wszedł prosto do salonu.

– Widziałem się wczoraj z Zawiewskim i rozmawiałem o twojej obronie.

– I co mówił profesor? – z zaciekawieniem zapytał Robert.

– On niewiele, ale masz przesunięty termin obrony.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – parsknął Julek śmiechem.

– No mów, dlaczego, a nie zgrywaj ważniaka.

– Szczerze?

– No tak. Mów bez ogródek.

– Ale tak naprawdę szczerze? – powtórzył za Robertem.

Ten tylko przytakując kiwnął głową i przeczuwając coś złego, powiedział:

– Tak.

– Pomimo iż z historii jesteś tylko magistrem, sam dobrze wiesz, że na uczelni jesteś najlepszym wykładowcą, a od dziesięciu lat, nie wiedząc, dlaczego, nie możesz zrobić głupiego doktoratu z historii. Fakt, doktorat z filozofii masz już osiem lat, ale w tej dziedzinie powinieneś mieć już co najmniej habilitację.

– Julek, przecież sam wiesz, że śmierć Barbary zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

– Wiem i doskonale to rozumiem, tylko że Basia umarła wieki temu, a ty, zamiast wziąć się w garść, chłasz tę wódę i nawet nie dasz sobie pomóc.

– No ale co ma Zawiewski do mojej pracy doktorskiej?

– Do samej pracy niewiele. Jakieś drobne poprawki. Musisz bardziej rozwinąć rozdział o Adolfie Eichmannie.

– No więc o co chodzi?

– A o to, mój serdeczny, kochany przyjacielu, kretynie, że Zawiewski chce, abyś to właśnie ty objął w przyszłości na uczelni katedrę historii po nim.

Robert z wrażenia aż podskoczył do góry. Rzucił się na szyję Julkowi i wykrzyczał:

– To wspaniale!

– Też jestem tego zdania – zimno, nieszczerze wycedził przez zęby. – Jednak jest jeden mały, wręcz bardzo niewielki, szkopuł i oby on cię tylko nie przerósł.

– Jaki – zapytał rozradowany Robert.

– To lepiej sobie usiądź, bo tej wiadomości to możesz naprawdę nie ustać.

Robert parsknął śmiechem i ironicznie rzucił:

– Przynosisz same dobre wieści i robisz z tego jakąś antyczną tragedię.

– No to słuchaj, mój brachu. Od dzisiaj do poniedziałku jesteś na urlopie.

– Ale przecież mam dzisiaj spotkanie z Zawiewskim – bezpardonowo zaoponował Robert.

– Słuchaj i nie przerywaj – ostrym tonem sprowadził go na ziemię Julek.

– Od dzisiaj, jak ci wcześniej powiedziałem, jesteś na urlopie. A teraz słuchaj jeszcze bardziej uważnie.

Robert opadł na fotel z wlepionymi oczyma w Julka, i czując, iż sprawa jest bardzo poważna, nagle zamilkł.

– W poniedziałek, zupełnie trzeźwy, pamiętaj, zupełnie trzeźwy – powtórzył z namaszczeniem – o godzinie

ósmej rano masz stawić się na oddziale odwykowym w Tworkach.

– Co? Chyba ci się całkiem w głowie pomieszało! Ja i Tworki? Dobry żart! – wykrzyczał Julkowi w twarz.

– Słuchaj i nie przerywaj, bo może się to dla ciebie naprawdę źle skończyć.

– Ale jak to, dlaczego? – wydukał już mocno przerażony.

– To jest decyzja Zawiewskiego. Terapia, później powrót na uczelnię i dopiero obrona doktoratu.

– Z tego, co wiem, nikt mnie do tego nie może zmusić i na pewno tam nie pojedę. Po prostu, pogadam z nim i wszystko wróci do normy – odgryzł się arogancko i wstał z fotela.

– Robert, przyjaźnimy się od podstawówki i źle, że do tego doszło, iż ja muszę ci to przekazać, ale jeżeli w poniedziałek tam nie pojedziesz, to na uczelnię masz tylko wstęp do działu kadr. Chyba wiesz, po co?

– Po zwolnienie? – nieśmiało zapytał.

– Tak, i to dyscyplinarne. Tak więc nawet nie próbuj się do końca terapii kontaktować z profesorem, bo tylko pogorszysz swoją sytuację.

– Ale dlaczego, co się takiego stało?

– Dlaczego? – powtórzył za nim Julek. – To, co wyprawialiście z profesorem Dombiakiem przez ostatnie trzy dni na sympozjum naukowym w Krakowie, po prostu urąga ludzkiej przyzwoitości.

– Julek, o czym ty w ogóle mówisz? Przyjeżdżasz do mnie rano i po prostu mnie obrażasz. Czy ty sobie za dużo nie pozwalasz?

– Żalony jesteś – rzucił mu bezceremonialnie. – Nie dość, że nic nie pamiętasz, to jeszcze szukasz winnych.

– Okey. O co tak naprawdę ci chodzi?

– O co? – zaśmiał się ironicznie Julek i ze stoickim spokojem kontynuował:

– Jesteś dobrym historykiem. Wspaniałym wykładowcą z filozofii i etyki, a więc opowiem o pewnych faktach, które dotyczą ściśle etyki, czyli twojej specjalizacji. Chcesz?

– Oczywiście, ja nie mam nic do ukrycia – obruszył się Robert.

– Pojechałeś z Dombiakiem na sympozjum. Tak?

– No tak.

– Tylko że sympozjum odbywało się na Uniwersytecie, a nie w pokoju hotelowym.

– No tak, tylko że trochę się spóźniliśmy i dlatego nie było nas w pierwszym dniu.

Książki dotychczas wydane Roberta Gonga

1. „W pogoni za miłością”

2. „Wilki”

3. „Kokainowa miłość”

*Powieść zakwalifikowana do Literackiej Nagrody
Europy Środkowej Angelus 2014 r.*

4. „666 do mroku”

*Powieść zakwalifikowana do Literackiej Nagrody
Europy Środkowej Angelus 2015 r.*

Książki dostępne także w wersji elektronicznej pdf
oraz na urządzenia mobilne (epub, mobi)
w księgarniach internetowych

Jeśli spodziewasz się, że ta książka odpowie na twoje najważniejsze pytania lub ukoł twoje widzenie siebie i świata, to się mylisz. To w najwyższym stopniu niepoprawna politycznie książka wolnej Polski, w której Robert Gong dotyka spraw najbardziej bolesnych – utraty oczekiwanego dziecka, ukochanej żony, wyrzutów sumienia, zdarzeń prowadzących do prawie ostatecznego upadku głównego bohatera, ale również przeznaczenia, które podsuwa mu nadzieję i podpowiada, jak naprawić wyrządzone bliskim zło.

To książka tylko dla odważnych, którzy nie lękają się konfrontacji z własnym losem, sumieniem, systemem wartości, czy duszą zrośniętą z nami do końca naszych dni, na dobre i złe. Duszą będącą naszym osobistym wewnętrznym głosem, w której mieszkają na równych prawach z nami nasze czyny, których się dopuściliśmy. To one prędzej czy później nas osądzą i zmuszeni będziemy nie tylko wobec nich dać świadectwo odkupienia swojej winy, ale też będziemy zmuszeni do takiej prostej ludzkiej refleksji nad sobą.

Redakcja

